

Sindbad z Lublina

TEATR. Premiera bajkowa

Dyrektor Cezary Karpiński wyreżyserował i pokazał w Dniu Dziecka przedstawienie według „Przygód Sindbada Żeglarza” Bolesława Leśmiana. Pierwsza od czasu objęcia rządów w lubelskim teatrze próba reżyserska Cezarego Karpińskiego nie jest pozbawiona powabów, jednak prawdziwym bohaterem spektaklu jest autorka scenografii Teresa Ponińska.

Za sprawą jej scenografii i kostiumów udało się wyczarować na scenie prawdziwie baśniowe niezwykłości i prawdziwe czary. Chmury wędrujące po scenicznym horyzoncie, wielkie muszle w głębi sceny. Od samego plastycznego obrazka morze szumi w uszach, w powietrzu pachnie jodem, a w ustach czuje się smak morskiej soli i przygody.

Niektóre rewelacyjne plastycznie sceny mogły zachwycić nie tylko dzieci. Kiedy na przykład na tle czerwonej poświaty purpurowe herod-kobiety spod ciemnej pirackiej gwiazdy biorą w niewolę bohaterów baśni, otaczając czerwonym przezroczystym szalem, a spod sceny w oparach fioletowego dymu wydobywa się czarnoksiężnik, dzieci rozdziewiają ze zdziwienia buzie. Również wiele innych scen, jak choćby przedziwne państwo króla Miraża, dzięki scenografii, bujnym strojom, śmiałym kolorom, ruchliwemu światłu i nieźle nieraz pomyslanemu ruchowi scenicznemu, może w baśniowe światy wciągnąć nawet dorosłych.

W dodatku dekoracje spuszczone z góry, pozwalały bajkowemu włóczykowi Sindbadowi szybko zmieniać miejsca pobytu. Na brzegach sceny przycumowały dwa statki – po lewej piracki, po prawej lajba kapitana Chwiejby.

Tylko ruszyć w przygodę... Okazało się jednak, że sceniczny Sindbad może zaimponować tylko bardzo grzecznym chłopcom. Pierwszy lepszy urwis, a takich w teatrze nie brakowało, mógłby

swoimi przygodami bez kompleksów przechwalać się odtwórcy głównej roli Arturowi Kocięckiemu.

Przedstawieniu brak awanturycznego nerwu i powiewu prawdziwej przygody. Znacznie lepiej wypadają natomiast próby oczarowania i rozśmieszania nieletniej widowni. Czary i teatralna magia to dziedzina, którą całkowicie zawiadnęła Teresa Ponińska. Najskuteczniej, w roli pełnowego poety na bakier z ortografią wuja Tarabuka, rozśmieszał Paweł Sanakiewicz oraz Piotr Wysocki, jako dziwaczy król Miraż. Choć w przedstawieniu jest sporo ruchu, tańca oraz bardzo dużo śpiewów, to jednak brakuje mu tempa i rytmu. Sceny zwałe, barwne lub czarujące wyhamowują statyczne i drętwe aktorskie pogaduszki. Znacznie lepiej wypadają próby kontaktu z widownią. Przedstawienie do młodych adresatów dociera. Dzieci poprawiały ortografię Tarabuka, rezolutnym chórem odpowiadały na pytania zadawane ze sceny.

Najslabszą stroną „Sindbada” z Lublina były piosenki, których autorem jest Jerzy Millian. Bardzo wątpliwe, czy dzieci po wyjściu z teatru zapamiętały chociaż jedną z nich. Tego nie da się nucić. W dodatku piosenki zaaranżowane trochę już staroświecko, a z instrumentowanymi ciężko, z przytłaczającym elektronicznym nadmiarem, lubelscy aktorzy zaśpiewali bez przekonania i wyrazu. Akustyk regularnie nie trafiał we właściwy poziom głośności i elektroniczne brzmienia półplaybacku przytłaczały i tak wątpliwy śpiew.

Szkoda, że w tym chwilkami zachwycającym baśniową wyobraźnią przedstawieniu, nie ma miejsca na przewrotności, delikatne przygniecenie oka, zwinną lekkość i czar, autoironię.

To kolejne przedstawienie lubelskiego teatru, które tak wiele obiecuje, a jednak nie spełnia rozbudzonych nadziei. Przyznać jednak trzeba, że nawet dorośli widzowie nie powinni się na Sindbadzie nudzić.

MIROSLAW HAPONIUK